

Grass i obieranie cebuli



Günter Grass, 2004 r., fot. wikipedia.

Romuald Mieczkowski

Obieranie cebuli bywa zajęciem często przykrym, pędzącym łzy. Udział kogoś w formacjach nazistowskich SS, kogo tak cenili i honorowali Polacy, to szczególnie bolesny dla nich cios. Dla Niemców też to bolesny przyczynek w ocenie zasad moralnych swoich elit. Choć mimo wszystko – jak to w życiu bywa – z perspektywy czasu wytłumaczalny, choćby lojalnością wobec swojej ojczyzny, mimo paskudnej formy służbie tejże ojczyźnie.

Nie wchodźmy w jałowe rozważania na temat: dlaczego na to wyznanie Günter Grass (autor m.in. „Blaszanego bębena”, red.) aż tyle lat czekał? – dziś, kiedy skandale zapewniają sukcesy komercyjne, niektórzy do nich wszak dążą. Ale pisarza, laureata Nagrody Nobla, niezłomnego bojownika o demokrację, niebawoma sukces wydawniczy, chyba mniej cieszy. Tym bardziej, że do biednych nie należy.

Sprawa była bardzo szeroko komentowana w Polsce. Na Litwie – mniej, ale też nie pozostała bez echa. Wypowiedział się w tej kwestii w *Komentarzu pisarza* dla stacji radiowej „Žinių radijas” („Radio wiadomości”) m.in. Valdas Kukulas. Przy okazji dostało się Wałęsie, za to, że nie poda ręki Grassowi, a którego to podczas pobytu w Wilnie *mania wielkości wszystkim pozostawiła największy psychologiczny osad* – stwierdził dziennikarz. Tymczasem wszyscy, którzy widzieli Grassa, zachowają go w

swej najświatlejszej pamięci.

Ważenie „narodowemu populiście” – rozważał dalej dziennikarz – daleko do intelektualisty światowej skali, dlatego był pewien, że noblista w tej trudnej sytuacji obdarzony jest wyrozumiałością.

Miałem okazję i ja rozmawiać w Wilnie z Grassesem, ujął on i mnie swoją sympatią. I jeszcze jednym, czego zapewne nie doświadczył pisarz-komentator: otóż mieliśmy to samo zdanie w ocenie sytuacji i roli mniejszości narodowych, jak też spustoszenia, jakie przyniosła przymusowa migracja narodów, w ocenie losów – jak to niejednokrotnie mówił Grass wprost – „wypędzonych”. Nawet, pamiętam porównywał losy Gdańska do Wilna.

Ma rację Kukulas, że młodość jest częścią życiorysu, że mimo różnorodnych interpretacji (tu powołuje się na sytuację na Litwie w czasie rządów Antanasa Smetony, ale trudno zrozumieć, co ma na myśli), fakty pozostają faktami. No, i – od siebie dodam – oczywiście, owe fakty składają się na wizerunek osób publicznych, szczególnie jeśli chcą uchodzić za autorytety moralne.

Wzorem wielkiego pisarza, mniej znany pisarz litewski wspaniałomyślnie przyznaje się do jednego, wstydliwego faktu i ze swojej biografii, dając pouczający przykład z własnego

dzieciństwa i wyciągając wnioski – otóż zdarzyło mu się kraść róże z „działki kolektywnej”, i to nie byle z kim, tylko z milicjantem, który miał pilnować terenu. Ale po tym Kukulas w życiu więcej nie kradł...

Przykład może to i bardzo literacki – wszak bardziej przemawiają do nas święci, co to grzeszyli, szczególnie za młodu, a potem się nawrócili. Ale jakoś nie bardzo przemawia skala porównań ułomności. Dobrowolne wcielenie „się” do struktur faszystowskich odróżniać należy też od przymusowego. Prawda, byli i tacy, którzy nie musząc robić coś dla swojej zagubionej ojczyzny, w odległych krajach, na ochotnika, brunatne mundury wkładali, a po latach, jak gdyby nigdy nic zostawali nierzadko owymi autorytetami moralnymi. Czyżby do nich kierował Kukulas swą konkluzję:

Dobrze by było doczekać tej godziny, kiedy i litewscy politycy, działacze kultury zdecydują się otwarcie powiedzieć, kim i gdzie byli w młodości?

Wypowiedź pisarza przeczytałem w komputerze. Opinie czytelników (miejscami bardzo naiwne, miejscami wręcz chamskie) świadczą, jak nieznany to na Litwie, w społeczeństwie – sięgającym Internetu i pewnie młodym – temat. Przykre, że przy okazji natarczywie powiela ono znane stereotypy wobec

innych i w tej sytuacji „trzecich” nacji.

Günter Grass zmarł w 2015 r. (red.).

Australijskie piękno na fotografiach Andrzeja Fiali



Andrzej Fiala w swoim domu w Perth.



© Andrew Fiala



© Andrew Fiala





© Andrew Fiala





© Andrew Fiala



O Andrzeju Fiali:

<http://www.cultureave.com/polscy-artysci-z-australii-anna-adam-i-andrzej-fiala/>

Wybory Miss Polonia w powojennym Londynie



Irena Anders, z domu Jarosewycz, pseudonim artystyczny Renata Bogdańska, 1960 r., fot. z archiwum Bohdana Nahajło, źródło: day.kyiv.ua

Florian Śmieja

Zanim zacząłem swój sześćioletni staż jako wykładowca literatury hiszpańskiej na uniwersytecie angielskim w Nottingham (1963-1969), odwiedzając to miasto w środkowej Anglii zostałem niespodziewanie dokooptowany do grona jury, które miało wybrać Miss Polonię na imprezie organizowanej przez szereg lat przez "Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" w Londynie. Zapamiętałem, że oprócz mnie wybierała jeszcze jakaś utytułowana angielska Lady, pani Generałowa Andersowa, czyli

Renata Bogdańska oraz tajemniczy Slavomir Rawicz. Nie spisaliśmy się kolektywnie, bo wybraliśmy kandydatkę, która się okazała przyjezdną z Warszawy Mrs.

Choć znamy dziś daty Rawicza (1915-2004), to wiele wątpliwości związanych z jego życiorysem i słynną książką pozostało. Poznany w Anglii dziennikarz Ronald Downing wysłuchawszy opowieści o sensacyjnych losach Rawicza, napisał książkę "The Long Walk" czyli "Długi marsz", która wyszła w 1956 roku stając się rewelacją. Przełożono ją na 25 języków.

Rawicz twierdził, że urodził się pod Pińskiem jako syn polskiego właściciela majątku i matki, Rosjanki. W 1939 roku w randze oficera kawalerii polskiej aresztowali go Sowieci i skazali na 25 lat obozu w Irkucku. Stamtąd z sześciorgiem towarzyszy uciekł on do Indii i po dziewięciu miesiącach, wyczerpana, pozostała przy życiu czwórka zbiegów dotarła do Nepalu. Potem Rawicz dostał się do Anglii, trzech pozostałych przepadło bez śladu.

Przyjęta z entuzjazmem książka wywołała wiele kontrowersji, z czasem zakwestionowano jej różne szczegóły, a potem autentyczność, w końcu Brytyjczycy przenieśli ją z działu autobiografii do działu fikcji.

Generałową Andersową miałem spotkać kilkadziesiąt lat później w Opolu. Przybyła wraz z ostatnim prezydentem rządu na

emigracji, Ryszardem Kaczorowskim. Na uniwersytet przyszły tłumy głównie, by zobaczyć legendarną Renatę Bogdańską, która ciekawskich nie zawiodła, bo jej aparycja zrobiła wielkie wrażenie.

Krótkie wspomnienia i obserwacje Floriana Śmieji drukowane były w odcinkach jako „Migawki” w „Liście oceanicznym” – dodatku do „Gazety” w Toronto, pod red. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, w latach 2003-2008, a potem znalazły się w zbiorze: Florian Śmieja, „Ślady światła”, SILCAN HOUSE, Mississauga 2013, opracowanie, redakcja, skład, projekt okładki Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Historia w karetach

zaklęta

Rozmowa z Teresą Fabijańską-Żurawską, wieloletnim kustoszem Powozowni Zamkowej w Łąncucie.



Teresa Żurawska w Łąncucie.

Z panią Teresą Żurawską przyjaźnię się od wielu lat. Zaczęło się od rozmów ze starszymi osobami w mojej rodzinie, słuchania z zapartym tchem opowieści o dawnym obyczaju, balach, polowaniach, sportach, zjazdach rodzinnych i bytności różnych znanych, historycznych postaci w domu mojego dziadka. Tego świata już nie było koło mnie. Były bloki, podwórko, piaskownica, „babie góry”, było ślicznie i zielono, ale gdzie te sanie, powozy, długie suknie i rytuał picia herbaty punktualnie o 16.00. Próbowałam odszukać ten zaginiony świat na starych pocztówkach. Uzbierała mi się niemała kolekcja. Poprzez pocztówki dotarłam do Łańcuta i autorki książki o obyczajach związanych z pojazdami konnymi z łańcuckiej kolekcji. Książka była pożyczona z biblioteki, ale żal było mi się z nią rozstać, więc ją całą przepisałam. Chodziłam wtedy do 4 klasy szkoły podstawowej. Po informacji o odkryciu przez Teresę Żurawską - kustosza Powozowni, słynnej ambony z Radacza, zbudowanej z części karet Sobieskiego, o czym było głośno w prasie, odważyłam się napisać list do Łańcuta. Zaczynał się od słów: „Mam 10 lat, chodzę do 4 klasy...”. Jakież było moje zdziwienie, gdy bardzo szybko dostałam poważną odpowiedź. Zaczęła się długoletnia korespondencja i przyjaźń. W Łańcucie odnalazłam świat sztuki, kultury, dawnych obyczajów. I poznałam bliżej panią Teresę, wspaniałego człowieka, który ma tak wielki wkład w tworzenie naszej kultury i

reprezentowanie Polski na zewnątrz kraju, tak wielki dorobek pisarski, a jednocześnie tyle ciepła, stylu, elegancji, urody zewnętrznej i urody ducha. Jest to prawdziwa pani na Łańcucie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Ta wielka kolekcja powozów w Łańcucie, jedna z największych w Europie, jest w jakimś stopniu i pani dziełem. Jak do tego doszło, że pani, absolwentka KUL-u zajęła się historią pojazdów konnych i przyczyniła się pani do stworzenia nowej gałęzi historii sztuki?

Teresa Żurawska:

Oboje z mężem, Jerzym Żurawskim, przybyliśmy do Łańcuta w 1963 r. na usilne prośby ówczesnego dyrektora Muzeum-Zamku w Łańcucie, Antoniego Dudy-Dziewierza, wspaniałego człowieka, działacza i ideowca z przedwojennego PPS-u. Mąż został głównym kustoszem w randze wicedyrektora do spraw naukowych. Oboje mieliśmy już mały staż pracy w Olsztynie, zaraz po studiach zatrudnieni do misji kulturalnej, której nadano tajemniczą i brzmiącą konspiracyjnie nazwę „AKCJA 666”.

Chodziło o rejestrowanie opisem, fotografią oraz danymi administracyjnymi, obiektów architektury zabytkowej, tak świeckiej, jak i sakralnej na Warmii i Mazurach. Jako historycy sztuki jeździliśmy po wypalonych, zrujnowanych miasteczkach, zniszczonych nie na skutek działań wojennych, lecz z rozkazu Stalina, by nie oddać tego, co ocalało po wojnie i miało w nowym podziale terytorialnym Europy przypaść Polsce. Akcja trwała trzy lata i nagle została przerwana, choć nie zakończona. Straciliśmy pracę i to oboje. Na świecie był już nasz syn Wrzesław. Trzeba było szukać zarobku.

Przypadek sprawił, że w podróży do moich rodziców, którzy mieszkali w Zamościu, spotkaliśmy konserwatora wojewódzkiego z Rzeszowa. W rozmowie padła konkretna propozycja etatu w Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie na stanowisku z-cy konserwatora. Bez zastanowienia przyjęliśmy tę możliwość jako szansę. W Rzeszowie upłynęły nam kolejne lata: ciekawy teren dużego wojewódzkiego miasta, dość zaniedbanego, ale bogatego w piękne obiekty architektury renesansowej, barokowej, drewnianej. Zaczęłam pracę w Muzeum Okręgowym i nawet miałam publikacje naukowe i popularne, z zakresu malarstwa i wystaw artystycznych, zorganizowałam znaczącą wystawę i całkiem dobrze się czułam w kręgu ludzi kultury rzeszowskiego środowiska. Jednak nasz syn zaczął w przedszkolu chorować i to zdecydowało o podjęciu decyzji przeniesienia się do Łańcuta.



Teresa Żurawska przed zamkiem w Łańcutie.

Miejsce pracy zachwycające, ale ileż tam było do zrobienia! Trzeba było wszystko, prawie od początku zorganizować, aby stworzyć z Łańcuta placówkę naukową promieniującą na całe południe Polski i nie tylko. Wieść o Zamku i Powozowni słynącej z najwspanialszej kolekcji pojazdów konnych szybko się rozprzestrzeniła. Do Łańcuta przybywały tłumy ludzi. Urządzano sesje naukowe, seminaria, odczyty, zjazdy i koncerty. Życie kulturalne kwitło, a my mieliśmy coraz mniej pracy. Nowy statut muzeum przewidywał podział ogromnego terytorialnie i merytorycznie zespołu na odpowiedzialne, samodzielne działy. Wyodrębniono również Dział Pojazdów Konnych, obejmujący dwa budynki ekspozycyjne, a w nich pojazdy, uprząże, akcesoria i

wszystko to, co wiąże się z kulturą i obyczajem i jest ściśle związane z koniem. Moją ambicją było stworzenie ośrodka wiedzy na temat historii pojazdu zaprzęgowego, by służyć ludziom kultury informacjami, ikonografią, zasobem biblioteki specjalistycznej. W Łańcucie były wzory, perły, z których można czerpać wiedzę i do filmu, i do literatury, uczyć się obyczaju i elegancji. Przymuszona przez dyrektora do objęcia funkcji kustosa w tym dziale, zaczęłam uczyć się sama. Pomogły mi w tym wyjazdy na stypendia do Francji, Włoch, liczne podróże prywatne i popierane przez Ministra Kultury i Sztuki, udział w międzynarodowych zjazdach i wreszcie długoletnia przynależność do Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeum Transportu /IATM/ przy wielkiej międzynarodowej organizacji muzeów /ICOM/. Brałam w nich czynny udział, wygłaszałam referaty, zawsze na tematy polskie, jako przedstawicielka naszego kraju.



Widok na kolekcję pojazdów konnych w Łańcuckiej Powozowni.

Powozy, to też ludzie, ich życie i obyczaje. Jakie tajemnice kryje Łańcucka Powozownia?

Łańcucka Powozownia jest właściwie nieporównywalna z żadnym innym zbiorem na świecie, gdyż jest jedyną całkowicie zachowaną powozownią zamkową, rezydencjonalną, stworzoną ponad 100 lat temu.

Najwyższej klasy artystycznej, bo tak trzeba określić to rzemiosło, karety, powozy, breki i każdy inny pojazd kryją wiele tajemnic. Tymi skrywanymi wewnątrz są np. ukryte nazwiska

twórców. W przypadku karety galowej Berlina jest to wiedeński siodlarz Karasch i karetnik Marker, a na stopniach stangreckich znajduje się dobrze zakamuflowana data „1830”. Odnajdywanie takich tajemnic jest wielką radością. Są też zagadki, których nie udało się rozwiązać do dzisiaj, gdyż odległość czasowa nie uruchamia naszej wyobraźni w sposób wystarczający. Furgon bagażowy z około połowy XIX w. zaskakuje małymi urządzeniami w podwoziu i nie wiemy do czego służyły. Czasem wewnątrz karety całkiem młodej, bo zaledwie stuletniej, znajdują się uchwyty trudne do zidentyfikowania. Są schowki, jakieś skomplikowane „skrzyneczki” nie wiadomo w jakim celu wmontowane itd. Na koczku gdańskim inicjały umieszczone na drzwiczkach, ułożone w ornament pod koroną nie zostały odczytane. Na szczęście herb rodziny szlacheckiej Faustów, która na prawdę istniała i występuje w „Błękitnym Almanachu”, został przeze mnie odczytany i znaleziony w starym, niemieckim herbarzu z 1654 r. Co to za radość po wielu miesiącach usilnych poszukiwań!

Sensacją w świecie nauki było odkrycie i udowodnienie, że ambona w małym kościółku w Radaczu koło Słupska, wykonana została z części karet Jana III Sobieskiego. Zrekonstruowane karety pokazane zostały w 2003 roku na wystawie w Wilanowie z okazji 320 rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem. Czy uważa Pani to znalezisko za największe swoje odkrycie, czy były też inne równie ważne?

Czasem zdarza się, że praca historyka sztuki, na ogół żmudna i monotonna, przeobrazi się wielką życiową przygodę. Tak było z rozszyfrowaniem ambony z Radacza, którą zrobiono w 1742 roku z trzech karet – dwóch króla Jana III Sobieskiego i jednej Marii Kazimiery, królowej, żony Jana.

W Wilanowie, na wystawie w 2003 roku pokazano, jaki miały kształt, wielkość, jak były zrobione i co znaczyły metafory, alegorie i symbole barokowe w ich dekoracji malarskiej i rzeźbiarskiej. To dzieła sztuki jeżdżące na złotych kołach. Rozszyfrowanie tego metajęzyka zajęło mi sporo czasu, ale też dało mi możliwość, zagłębienia się w historię, ceremoniał dworski, obyczaje epoki. Uważam, że było to moją życiową misją, aby Polsce oddać trzy królewskie, paradne karety najbardziej kochanego króla.



Wizyta Mieczysławy Cwiklińskiej w Łańcucie w 1968 roku. Od lewej: M. Cwiklińska, A. Grzybowski, T. Żurawska, red. Radomiński.

Kto ze znanych, sławnych i ciekawych ludzi, którzy odwiedzili Powozownię, najbardziej utkwił Pani w pamięci?

W Łańcucie jestem ponad 50 lat, z tego 30 pracowałam na rzecz Zamku i Powozowni. Przede wszystkim opracowałam zbiory, powiększałam je, zbierałam książki z zakresu historii pojazdów konnych, sama pisałam książki i artykuły, ale w moich czasach Zamek był tak popularny, że zjeżdżało doń mnóstwo ludzi wielkich i sławnych. Koronowane głowy, ambasadorowie, ludzie pióra, teatru, filmu i telewizji. Pamiętam wizytę Wielkiej Księżnej Luksemburga, której towarzyszyłam podczas zwiedzania zamku.

Przyjechał z nią cały dwór i co mnie zdziwiło, najbardziej słyszeć było język polski, bo damy dworu to księżne i księżniczki Polki – Sapieżyny i Sapieżanki. Oprowadzałam też belgijskiego następcę tronu – księcia Filipa w towarzystwie ambasadora Belgii w Polsce, wysokiego arystokraty. Miałam zaszczyt oprowadzać naszego prymasa, ks. kardynała Józefa Glempa. Było bardzo zabawnie, bo Jego Eminencję wpakowaliśmy do karety generała Piotra Szembeka z XIX w. Z aktorów najmilej wspominam Aleksandrę Ślaską, a z reżyserów Janusza Majewskiego. Nigdy nie zapomnę rozmowy z Marią Kuncewiczową, czy z Jerzym Waldorfem. Z zagranicznych gości świata artystycznego wspomnę piękną Juliette Greco. Nie sposób wymienić tu choćby połowy. Na prawdę było wiele osób wspaniałych.

Łańcut przechodził różne okresy. Była Pani świadkiem przyjazdów Cyrankiewicza, Hermaszewskiego, potem przyjeżdżali państwo Potoccy z Peru, prawowici spadkobiercy zamku. Jak wspomina pani tamte czasy?

Państwo Potoccy ożywili Łańcut po latach stanu wojennego i przemian, podczas których miejsce to, jakby straciło na popularności. Zamek znów zaczął rozbrzmiewać muzyką kameralną, odbywały się przyjęcia dla kilkudziesięciu osób. Zjeżdżała na nie arystokracja polska, francuska, hiszpańska, dyplomatyczne osobistości z krajów latynoskich i rodzina Potockich ze wszystkich żyjących jeszcze linii. Myślę, że nawet

przed wojną nie było tak licznych zjazdów i o takiej wysokiej randze społecznej, tyle książąt, hrabiów. Zaczęło się od ślubu Rosy i Stanisława Potockich z Peru, którzy właśnie w Łańcucie zapragnęli związać się węzłem małżeńskim. Nawet kaplicę zamkową na tę okazję ksiądz proboszcz specjalnie wyświęcił. No i to, co stało się ważne dla historii Łańcuta, w 2001 roku Państwo Potoccy z pomocą wielu osób zorganizowali uroczysty, z wojskowymi honorami pogrzeb ostatnich właścicieli: Elżbiety z Radziwiłłów Romanowej Potockiej, ich dwóch synów Alfreda – ostatniego ordynata i Jerzego, adiutanta marszałka Józefa Piłsudskiego, później ambasadora Polski przedwojennej w Turcji i w Stanach Zjednoczonych wraz z żoną Susaną Ytterregui, Peruwianką. Te cztery osoby były pochowane we wspólnym grobowcu w Lozannie (Szwajcaria). Teraz znajdują się w mauzoleum rodowym pod prezbiterium kościoła farnego w Łańcucie.



Teresa Żurawska z synem Wrzesławem Żurawskim (który zaprojektował m.in. winietę magazynu „Culture Avenue”).

Żyjąc w takim miejscu jak Łańcut, bogatym w tradycje, a jednocześnie mając szeroki kontakt ze światem, (miała pani szereg wystąpień naukowych zarówno w Europie, jak i w Ameryce, jest pani autorką wielu poszukiwanych książek), czy rzeczywiście trzeba pokazywać Europie, nasze bogactwo kulturowe, gdyż wiele lat myślano o nas, że żyjemy daleko od centrum kultury, a takie miejsce, jak Łańcut położone jest pośród stepów, na kulturowej pustyni?

U naszych zachodnich sąsiadów dość powszechnie utrwalił się

wizerunek Polski, jako kraju pozbawionego kultury, nieciekawego, uważano, że „na wschód od Łaby nic nie ma”. I oto jakże daleko na wschód od Łaby istnieje taki zamek w Łańcucie i jeszcze dalej Krasieczyn, a w międzyczasie tyle prześlicznych zabytkowych kościołów, murowanych i drewnianych katolickich i prawosławnych. Nie mówiąc już o dworach i pałacach jeszcze dość licznych. Zdziwienie wtedy jest wielkie.

Czy gdyby jeszcze raz kończyła Pani studia, wybrałaby Pani Łańcut, jako swoje życiowe miejsce? Czy Łańcut jest dla Pani tym wymarzonym domem?

Łańcut dla mnie był wynikiem sytuacji życiowej, o której wspomniałam na początku, ale przyznać muszę, że to miejsce jest szczególne i szalenie inspirujące, niezwykle poszerzające wiedzę, bo trzeba znać się po trosze na wszystkim. Opanować trzeba historię Polski i Europy, w dużym zakresie genealogię, obyczaje i ogólnie kulturę, nie mówiąc już o historii sztuki, zwłaszcza czasów nowożytnych. Teraz już bym Łańcuta nie zdradziła, tyle tu mojego trudu, nieprzespanych nocy, przepracowanych dni i wieczorów, tyle emocji, eksploatowanej energii, tyle przyjaźni, spacerów i oddychania pięknem. Jeździłam w świat, ale świat też przyjeżdżał do Łańcuta i do mnie osobiście, zresztą przyjeżdża do dzisiaj. Wiele, nie wstydzę się tej megalomanii, eksponatów i książek przybyło tu za moim

pośrednictwem. Cała druga kolekcja pojazdów konnych, uratowanych od zagłady lub wywiezienia. Przez to wszystko Łącut stał się moim Łącutem. Czy wymarzone? – Nie wiem, nie miałam takich konkretnych marzeń, ale stał się nim z pewnością.



Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

A jaki był Pani dom rodzinny, dwór w Czumowie, dom w Zamościu, ojciec, który wrócił pieszo z obozu oficerskiego we Francji do domu, do rodziny? Czy miłość do piękna, ideały, wartości, wszystko co jest w pani i czym pani emanuje, dając innym tak wiele, było w Pani domu?

W Zamościu był dom rodzinny, w którym urodziłam się i ja i mój syn. Do śmierci Taty w 1972 był moim azylem. Drewniany, niezbyt duży, z gankiem oszklonym i werandą od południa, położony wśród ogrodów, z dala od ulicy, przypominał z wyglądu i z obyczajów w nim panujących dwór polski.

Pielęgnowało się wszystkie tradycje świąteczne, katolickie i patriotyczne, chociaż po wojnie zakazane. Ciepło moich kochających rodziców (przeżyli 49 lat we wzorowej wprost harmonii), gościnność, atmosfera życzliwości, spokój ducha i równowagi psychicznej, były skarbami, które otrzymałam na całe życie, jako fundament mocny i niepodważalny. Jeszcze kilka lat po wojnie była z nami babunia, matka mojego ojca, jak zwykł był o niej mówić „Mateńka”. Kto dziś tak nazywa swoją matkę? A to takie piękne. Mówimy tak modląc się, upraszając o łaskę, ale do Matki Bożej. Myśmy to mieli w codziennych rozmowach przy stole, który jednoczył nas dwa razy dziennie – na obiad i na kolację, czasem był jeszcze czas na podwieczorek.

Jestem z czworga rodzeństwa, była więc z nas siedmioosobowa

rodzina. Ojciec przez 6 lat był w niewoli. Najpierw pojmany we wrześniu z 17/ 18 pod Równem wraz z całym taborem polskim. Zapakowali żołnierzy do bydlęcych wagonów i wozili po terenie południowej Rosji, aż po Ural, dając raz dziennie kubek kawy i kromkę spleśniałego chleba. Spali na mokrych liściach. Ta wędrówka bez celu trwała 7 tygodni. Przy wymianie jeńców (Sowieci z Niemcami), oddano Polaków do niewoli niemieckiej. Mój ojciec znalazł się wtedy w obozie międzynarodowym w miejscowości Oschatz w Saksonii. Ciężkie to były lata, wielu nie przeżyło, wielu zachorowało psychicznie. Mój ojciec, rezerwista, już nie młody (miał 40 lat, gdy wybuchła wojna), był bardzo schorowany, cierpiący na bóle stawowe. Jednak wytrzymał i postanowił wrócić do rodziny, bo tak pojmował swój obowiązek wobec społeczeństwa i państwa. Chodził w jednym ubraniu jakie miał, amerykańskim mundurze oficerskim. Na pewno nie ułatwiło mu to życia w pracy.



Pałac w Czumowie.

Czumów – dwór, a właściwie pałac z wysoką wieżą, jest do dzisiaj najjaśniejszym promyczkiem w moim dzieciństwie. Najlepiej pamiętam ostatnie długie wakacje 1939 r. Nasze zabawy ze starszym bratem i wyprawy, trochę tajemnicze, trochę zakazane np. na ową wieżę, gdzie gnieździły się sowy i kawki. Grzebanie w starych papierach, odkrywanie schowków, wyprawy po miód trzmieli i asystowanie przy lokomobili, a potem jazda na workach pełnych pszenicy do spichlerza. To była jeszcze większa frajda, niż zjeżdżanie ze sterty słomy. Radość nasza zakończyła się nawałnicą wojenną. Pamiętam panikę ludzi, gorączkowe rozmowy, przyjmowanie uciekinierów z poznańskiego i z

Warszawy. Wszędzie tłok. Wreszcie zapadła decyzja i babcia z mamą postanowiły uciekać za Bug, gdzie mieliśmy rodzinę ze strony ojca. Bryczka mało pojemna i furka z jednym woźnicą, który zechciał jechać z nami wyruszyły ostatnim promem przez Bug w kierunku Uściługa i Włodzimierza Wołyńskiego. Nigdy nie zapomnę widoku tłumów na drodze. Nie dało się jechać. Świetnie przedstawił tę scenę znakomity pan Antczak w filmie „Noce i dnie”. On pochodzi z Włodzimierza, sądzę więc, że widział to, co działo się na tych ziemiach Wołynia we wrześniu 1939 roku. To tak wyglądało w rzeczywistości. We mnie te obrazy wędrówki, pola po bitwie, palącego się samolotu, świst i warkot maszyn w powietrzu walczących myśliwców, strzelanina i wybuchy pozostały i w oczach i w uszach.

Na długie lata przyćmiły je wydarzenia, które przyniosły lata powojenne. Myślę, że oglądanie od dziecka albumów z kolorowymi widokówkami Kossaków, Andriollego, reprodukcji malarstwa Młodej Polski, które Mama zbierała i pozwalała nam oglądać, zwłaszcza podczas choroby, również encyklopedia Guttenberga, z barwnymi tablicami, oczywiście czasopisma o słodkich obrazkach, może nawet ckliwych, miały ogromny wpływ na kształtowanie się zainteresowań i umiłowań. Trochę wzięłam z genami Babci, z domu Moszyńskiej, która miała rzadkie poczucie estetyki na każdym kroku, wszędzie w najmniejszym drobiazgu. No i ta babcina, słynna już elegancja, nienaganny żabot, zapinka złota lub kamea, staranne uczesanie jeszcze z

epoki *fin de siècle'u*, przytrzymane ogromnymi szpilami. To była prawdziwa i ostatnia dama w naszej rodzinie. Takie kobiety potrafiły prowadzić piękny dom.

Co chciałaby Pani najcenniejszego przekazać swoim wnukom?

Chciałabym, aby moje wnuki, a mam ich czworo, były szlachetne wewnątrz, umiały odróżnić dobro od zła i kierować się dobrem, uczciwością, prawością. Chciałabym, żeby były nie tylko piękne z urody, ale i też piękne z wnętrza. Umiały być czułymi, współczującymi, rozumiejącymi i kochającymi. To chyba najważniejsze, no i szanowały swoje korzenie, tak rodzinne, jak i historyczne.

TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA *ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w*

Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki - III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The transport Museums”, miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i

dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compiègne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.

Funkcje pieśni ludowych w utworach Pawła Łyska. Część II.



Władysław Skoczylas, Dziewczyna na łące, akwarela, 1913 r.

Edyta Korepta

Twórczość Pawła Łyska budzi autentyczne zainteresowanie w kontekście emigracyjnego regionalizmu. Jego utwory są „wielką monografią etnologiczno-etnograficzną i kulturową wspólnoty śląskiej, słowackiej i czeskiej na górskim pograniczu”[1].

Urodzony 27 sierpnia 1914 r. w Jaworzynce na Śląsku Cieszyńskim w rodzinie góralskiej, bratanek Jana Łyska, poety i dramatopisarza (1887 - 1915), zmarł 15 lipca w 1978 r. w Stanach Zjednoczonych pod Nowym Jorkiem,

pochowany został w Istebnej, koło Cieszyna.

Do rangi *sacrum* urastają pieśni religijne Pawła Łyska. Jest ich w jego tekstach stosunkowo niewiele; religijność autentyczna tkwiła bowiem w ludziach i nie wymagała nazywania. Pieśni religijne wyrażały często *credo* życia, ale wzmacniało je powołanie na tradycję, mimo iż całe ludzkie życie, wszelkie poczynania zależały od łaski Bożej, wyrażonej np. w pieśni

Z Bogiem, z bogiem każda sprawa

tak mawiali starzy.

Kiedy wezwiesz tej pomocy,

wszecko ci się darzy[2].

W formie pieśni wyrażane były również modlitwy, jak ta piękna apostrofa wygłoszona w czasie pogrzebu Juty Odcesty:

Witaj, Królowo nieba,

i matko litości;

witaj, nadziejo nasza

w smutku i żałości.

Orędowniczko nasza,

racz Swe litościwe

oczy spuścić na nasze

serca żarliwe**[3]**.

Religijność wyrażaną w pieśniach reprezentują zbiorowe wzorce zachowań społeczności lokalnej, mimo iż oddają bardzo subiektywne odczucia. Religia obejmowała świat człowieka od wewnątrz, jakąś świadomość nie do końca jednak uzewnętrznianą.



Władysław Skoczylas, Madonna karmiąca, drzeworyt kolorowany, 1923 r., Muzeum Sztuki w Łodzi.

Łysek zauważał również fakt, iż człowiek tworzy poezję, ponieważ musi bawić się społecznie[4]. W swych utworach poprzez pieśni ludowe wykreował ludyczny świat, w którym zaobserwować można nierozzerwalny związek poezji z tańcem. Autor prezentuje poezję głównie zrodzoną w trakcie zabawy. Przestrzenią, gdzie najczęściej spotykali się ludzie z różnych okazji, była karczma. Tam przy wtórze kapeli poszczególne tańce uzupełniano piosenkami przedstawiającymi stereotypowe obrazy w określonym porządku i według dobrowolnie przyjętych reguł, co wzmacniało społeczne więzi.

Pieśni były uzupełniane przez taniec, np. kozaka czy owięzioka, któremu towarzyszyły przyśpiewki humorystyczne wprowadzające poprzez swoisty pojedynek śpiewany odpowiedni nastrój do zabawy. W trakcie śpiewów i tańców w karczmie zauważyć można było jakieś odgrodzenie od codzienności, a wewnątrz tego świata toczyła się zabawa według reguł przyjętych przez tradycję. Zasady owe miały moc obowiązującą. Zauważył więc Łysek, iż pieśń ludowa wraz z muzyką i tańcem przenosiła ludzi w inny świat, stworzony jednak według przyjętych i utrwalonych tradycją zasad. Zabawa stanowiła cel sam w sobie, treść śpiewanych pieśni miała charakter eklektyczny, towarzyszyły im czasem uczucia napięcia, radości i świadomość odmienności takiej sytuacji od codziennego życia.

Pieśni w utworach Łyska oprócz wnikania w problemy egzystencjalne ludzi mieszkających na Śląsku Beskidzkim pełniły również określone funkcje artystyczne.

Zauważa się przede wszystkim, iż tekst poetycki żyje u Łyska w kontekście innego tekstu, tworząc razem pewne struktury narracyjne. Należą do nich dzieje zbójectwa na Śląsku Cieszyńskim silnie zmitologizowane i zabarwione subiektywnie[5]. Poszczególne akty przekazu owych dziejów tworzą ciągi łańcuchowe jak w przypadku relacji z obrzędów zaślubin, pogrzebu, skubania pierza, chrzcin, co zostało już zasygnalizowane wyżej. Z tą formą artystycznego przekazu wiąże

się synkretyzm gatunkowy; sama pieśń funkcjonowała rzadziej, towarzyszyły jej tańce i muzyka, co wynikało z faktu, iż zabawa stanowiła specyficzną formę działania, stawała się czynnikiem życia kulturalnego.

Pieśni związane z zabawą miały charakter antytetyczny; śpiew uprawiany był na zmianę, niekoniecznie miał charakter antagonistyczny, stwarzał jednak szczególne napięcie dramatyczne.

Ludyczny charakter pieśni bywał wzmacniany przez humor. Najczęściej przejawiał się w grze słownej powodującej odstępstwo od normy. Kpinie poddane są starsze kobiety zalecające się do młodych mężczyzn: „ale jo nie wiedzioł, czego ciotka chcieli”, a także mężczyźni, którzy odwlekają małżeństwo: „kupim jo se za to porządnego wieprza”, a ożeni się, gdy podrosną dzieci. Ideałem staje się „baba szyrokiego zadku, dobrego gatunku/ cobo nie pijała po gospodach trunku”. Humor wprowadzają często sytuacje erotyczne, wprowadzając niepodane wulgarnie, jednak z dość dosadnym słownictwem: „cosi prziszło ku mnie/ rijnciska to miało/ obłapiać się chciało”.



Władysław Skoczylas, Pochód zbójników, drzeworyt kolorowany, 1919 r., Muzeum Narodowe w Warszawie.

Najczęściej w pieśniach przytoczonych przez Łyska występuje humor sytuacyjny w formie niespodzianki, zaskoczenia, karykaturalnego wyolbrzymienia. Sytuacje, fragmenty akcji podane bywają często w żartobliwej formie. Ten typ humoru wynikał z narracyjnego charakteru wielu pieśni: „gajdoszu z gajdami/ smiłuj się nad nami/ jako się smiłował/ wilczek nad kozami”.

Łysek wyraźnie wyeksponował funkcję poezji w grze nieustannego przyciągania się i odpychania chłopców i

dziewcząt, w błyskotliwej wymianie śpiewanych często improwizowanych tekstów. Podkreślały one funkcję fatyczną ludowego tekstu poetyckiego.

W formie poetyckiej tych tekstów dużą rolę odgrywa *incipit* pieśni, który często zastępuje tytuł, bohatera, motyw. Najczęściej *incipit* lokalizuje akcję: „W tym naszym Istebnym pięknie, szumnie”, „U dunaju świyci jasne słónecka”, „Przez wodym koniczki, przez wodym”, „Gróniu mój, gróniu mój”.

Bardzo często jest on nacechowany przeciwnie do tekstu rozwijającego pieśń. Gdy wiersz literacki ma nacechowaną *pointę*, wiersz ludowy zawarty w tekstach Łyska – *incipit*. Z nim także związane są liczne powtórzenia, bardzo typowe dla poezji ludowej i są one nierozzerwalnie związane z tekstem. Nieliczne pieśni mają refren. Powtórzenie pozostaje w ścisłym związku z sakralną wizją świata[6] (gdzie święty znaczy mocny, rzeczywisty, niezmienny). Jest często stylistyczną dominantą tekstów:

Žitko, moje žitko,

Žieline mi zeszło;

Žodyn tego nie wiy,

Ani nie wypowiy,

Jako mi jest teskno.

Teskno mi jest, teskno

Bez lubego mego.

Bo un się mie wyrzekł,

Nie jest nic dobrego;

O mój Bozie, Bozie...

Część powtórzeń służyło potrzebom muzyki i śpiewu, niektóre pełnią funkcje wierszotwórcze.

Ważnym składnikiem języka poetyckiego analizowanych tekstów jest metaforyczność. Jedną z jej odmian bardzo często stosowaną jest antropomorfizacja. Wynika ona niejednokrotnie z naturalnej więzi człowieka z przyrodą. Góry bywały „wesołe”, „owce robiły swawole”, „gajdy zagrały”, „gronie, nasze gronie, podejcie nóń dłonie”, owce bywały to smutne, to wesołe, a nawet prowadziła

rozmowę z pasterzem:

O mój złoty owczorziczku,

puść że me do góry,

najym się tam malinioka,

pieprziny, dóndrawy.

Pół świata se tam łobyndym,

na Beskidek pozdрым

i powrócim napasóno,

a ty me dój potым”[7].

Analiza tekstów pieśni zawartych w utworach Łyska wskazuje na ich aspekt pragmatyczny. Takie zabiegi dowodziły mimetyzmu opartego na przeświadczeniu o więzi między sytuacjami zawartymi w utworach, a sytuacjami należącymi do otaczającego świata[8]. Mimetyczny styl pisarstwa cechuje całą twórczość

Łyska. On zdecydował o stworzonej wizji świata, w której znaczącą rolę pełnią zamieszczone pieśni ludowe.



Władysław Skoczylas, Janosik z frajerką, drzeworyt, Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce.

Analiza pieśni zawartych w utworach Łyska wskazuje na oryginalną formę artystyczną utworów przyjmującą kształt „tekstu w tekście”. Pieśni, których jest ponad sto pięćdziesiąt, dowodzą wielkiej pracy etnograficznej, której dokonał autor, by zebrać i opracować te funkcjonujące w tradycji formy kultury wierszowanej.

Przede wszystkim wykorzystał je dla wzmocnienia wydarzeń, wnikliwej charakterystyki środowiska i ukazania egzystencjalnego świata górali Beskidu Śląskiego. Jaki cel mu przyświecał? Proponuję, by przyjąć koncepcję, która potwierdzałaby tezę, że sięgnął do dawnych form kultury, by zrozumieć siebie do końca z oddalenia emigracyjnego. Potwierdza to tezę o takich funkcjach pieśni, które mają ukazać sytuację egzystencjalną ludzi żyjących w określonej społeczności lokalnej. Włączył ludzkie dzieje w mikrostruktury narracyjne powiązane z tańcem i muzyką, tworzące doskonałe systemy synkretyczne. Sytuacyjność pieśni pozwalała zauważyć świat bohaterów, którzy respektowali określone wartości, tworzyli mityczny, sprawiedliwy świat, ale również przeżywali sytuacje religijne, śmierć, miłość, a przede wszystkim realizowali się w zabawie. Pełnia egzystencji nie tyle indywidualnych co zbiorowych znalazła wyraz w zebranych pieśniach.



Władysław Skoczylas, Zbójnik tańczący, drzeworyt, Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce.

Ponadto pieśni spełniają dużą rolę estetyczną, podnosząc poziom artystyczny wypowiedzi literackiej zawartej w interesującej monografii beskidzkiej poprzez metaforyzację, a głównie antropomorfizację przedstawionego świata. Przytoczone pieśni cechują typowe dla form literatury ludowej *incipia* oraz powtórzenia.

Celem głównym, jaki Łysek stawiał przed swoją twórczością, było

kształtowanie poczucia tożsamości etnicznej i realizował go również poprzez zebrane z ogromną gorliwością i znanstwem pieśni wykorzystane w tej oryginalnej i złożonej literaturze.

Pierwsza część artykułu ukazała się w poniedziałek, 28 stycznia 2019 r.

Funkcje pieśni ludowych w utworach Pawła Łyska. Część I.

O Pawle Łysku:

Piewca Beskidu Śląskiego. Paweł Łysek (1914-1978).

Drzeworyty Pawła Stellerera:

Drzeworyty Pawła Stellerera

- [1] J. Kolbuszewski, *O twórczości Pawła Łyska*, „Annales Silesiae” volume XVIII 1988, s. 109.
- [2] P. Łysek, *Marynka...*s. 102.
- [3] P. Łysek, *Twarde żywobycie...*, s. 159.
- [4] Por. J. Huizinga, *Zabawa jako źródło kultury*, Warszawa 1990, s. 240.
- [5] Por. J. Bartmiński, *Folklor – język, poetyka*, op. cit., s. 12.
- [6] J. Bartmiński, op. cit., s. 196.
- [7] P. Łysek, *Twarde żywobycie...*op. cit., s. 140.
- [8] M. Głowiński, *Świadectwa i style odbioru*, [w:] *Style odbioru*, Kraków 1977, s. 130.
-

Zmarł Andrzej
Pawłowski –
mój wyśmienity
przyjaciel.



Andrzej Pawłowski w swojej pracowni.

Jarosław Abramow-Newerly

Taką ilością talentów jaką obdarzony był Andrzej Pawłowski spotyka się bardzo rzadko. Ja przynajmniej nie znałem drugiego takiego człowieka. Z zawodu lekarz i naukowiec, z zamiłowania rzeźbiarz, pisarz i kolekcjoner sztuki. Jako lekarz już w Polsce cieszył się opinią jednego z najzdolniejszych młodych dermatologów i to zarówno praktyków jak i pracowników naukowych. Właśnie miał zostać docentem Akademii Medycznej w Warszawie kiedy w 1971 roku wraz z żoną Danutą, również lekarzem, zdecydowali się na wyjazd z Polski. Najpierw znaleźli się w Anglii, gdzie przyszła na świat Ich córka Sonia, a potem

przyjechali do Kanady. Po bardzo trudnym okresie nostryfikacji dyplomów otworzyli prywatną praktykę lekarską w polskiej dzielnicy w Toronto. Przez Ich gabinety przy ulicy Roncesvalles przewinęło się mnóstwo pacjentów. Wśród nich znalazłem się i ja. Danusia była moją lekarką rodzinną, a Andrzej dbał o moją skórę. Między innymi usunął mi z nosa tak zwane błękitne znamię. – Po co Ci to nosić. Przyjdź do mego gabinetu, wytniemy je i spokój. Po co czekać aż się przerodzi w melanomę – powiedział.

Podczas zabiegu podziwiałem zręczność Jego rąk. Zoperował to perfekcyjnie. Do dziś nie mam śladu na nosie. Andrzej był wybitnym znawcą melanomy, prowadził nad nią badania naukowe, wykladał na Uniwersytecie i ogłosił wiele cennych prac z tego zakresu. Niedawno nie bez satysfakcji przyznał mi się, że właśnie znajomy dermatolog powiedział Mu, że ich praca naukowa, którą kiedyś razem pisali wciąż jest aktualna i często cytowana. Każdemu by takie sukcesy wystarczyły, tylko nie Andrzejowi. Czuł w sobie siły twórcze. Po godzinach pracy pisał i rzeźbił. Zawsze interesował się sztuką i artystami, zwłaszcza polskimi. Chodził na wszystkie ich wystawy, kolekcjonował obrazy i zamieszczał swoje recenzje w „Związkowcu” i „Głosie Polskim”.



Jarosław Abramow-Newerly, fot. Maya Fołtyn.

Na jednym z takich wernisaży poznał rzeźbiarza Edwarda Koniuszego i zachwycił się jego rzeźbami w drzewie i kamieniu. Napisał o nim entuzjastyczną recenzję. Kiedy się bliżej poznali Andrzej przyznał się, że też w domu trochę rzeźbi i pokazał mu swoje amatorskie próbki. Koniuszy przychylnie je ocenił i zaproponował Andrzejowi, że może Go uczyć rzeźby, na co Andrzej z radością przystał. Okazał się bardzo pojętnym uczniem i tak oto Koniuszy uczynił z Niego zawodowego rzeźbiarza. W 1985 roku Andrzej wstąpił do „Sculptors Society of Canada” (SSC) i „Polsko Amerykańskiego Towarzystwa

Artystów” (PAAS), a w latach 1992-1994 był nawet prezesem Kanadyjskiego Towarzystwa Rzeźbiarskiego (SSC). W siedzibie tego Towarzystwa miał wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych. Za swoje oryginalne prace łączące w sobie kamień, drzewo i różne przedmioty użytkowe zdobywał liczne nagrody. Przyjaźń z Koniuszym zaowocowała książką Andrzeja „Edward Koniuszy - The Sculptor” . Po śmierci Koniuszego Andrzej opiekował się jego żoną, aż do chwili jej zgonu w zeszłym roku. Był zawsze niezwykle wierny w przyjaźni i prawdziwą przyjaźń cenił najwyżej.

Nigdy nie zapomnę, że jak tylko przyjechaliśmy do Toronto w 1985 roku z Wandzią i naszą małą Marysią, to właśnie w domu Pawłowskich odbył się mój wieczór autorski. Andrzej zaprosił wiele znaczących osób. Wśród gości na honorowym miejscu siedział Jego Ojciec, inżynier Julian Pawłowski. Człowiek nieprzeciętny. Dożył rekordowego wieku stu dwóch lat. Na swoje stulecie sprawił sobie jasny garnitur i kazał koniecznie kupić biały, jedwabny krawat. Tego białego krawata Andrzej szukał w sklepach po całym Toronto. Kiedy redagowałem „Związkowca” wprowadziłem w nim rubrykę „Jak dożyć stu lat - seniorzy udzielają rad”. Pan Julian udzielił zaskakującej rady. Nie mówił o zdrowym odżywianiu czy potrzebie ruchu, tylko powiedział, że najważniejszą rzeczą w długim życiu jest mieć czyste sumienie. Wtedy śpi się spokojnie. Mądrość tej rady oceniłem dopiero z czasem.



Rzeźba autorstwa Andrzeja Pawłowskiego.

Andrzej od dawna interesował się polską dzielnicą, w której jako lekarz pracował. I tak powstała w 1993 roku w dwóch językach po polsku i po angielsku „The saga Roncesvalles” – dziś bezcenne źródło informacji o polskich sklepach i instytucjach w Toronto w drugiej połowie ubiegłego stulecia. W tym samym mniej więcej czasie zainteresował się studiami nad włoskim

poetą Dantem. Włochy i sztuka włoska zawsze Go interesowały. Powstał z tego dramat „Dante na stopniach nieśmiertelności” (1995), który w wersji angielskiej był zagrany w teatrze Uniwersytetu London Ontario. Byłem na tej premierze. Sugestywna gra aktorów ujawniła ponadczasowy i uniwersalny język pisarstwa Andrzeja, Jego prawdziwy kunszt. W późniejszych latach Andrzej związał się z wydawnictwem Adam Marszałek w Toruniu i w tym Wydawnictwie ukazało się wiele Jego książek. „Pochylony nad Łokietkiem – opowieść historyczna urealniona” (2004), do której wstęp napisał profesor Henryk Samsonowicz, który bardzo wysoko ją ocenił. Następne książki Andrzeja to „Zatrzymać cień Boga” (2005), „Śmierć Hermesa”, (2010), „Skazani wyobraźnią” (2012), „Anielski Bessarion” (2014), wreszcie „Kardynał od Świętego Anioła” (2017). Każda z nich wymagała żmudnych studiów historycznych. Andrzej szperał po bibliotekach, sięgał do łacińskich oryginałów, studiował „Kronikę Długosza”. Nie przesadzę jeśli powiem, że zdobył profesorską wiedzę. Nic dziwnego, że Jego książki omawiane były na seminariach ze studentami na przykład na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego.

Jak już wspomniałem Andrzej posiadał niezwykle dar przyjaźni, stawiał też swym przyjaciółom wysokie wymagania. Musieli to być ludzie twórczy, których prace cenił. Najczęściej artyści plastycy. Ale nie tylko. Utrzymywał żywy kontakt z kolegami ze

szkoły „Batorego” w Warszawie i był zawsze dumny, że ją ukończył w 1951 roku. Z wdzięcznością wspominał swoich szkolnych profesorów. – Na przykład Marian Dowiat, historyk! – mówił – Wyśmienity profesor! Wyśmienity! – podkreślał. Ta zdolność zachwyty nad ludźmi, których prawdziwie cenił była jeszcze jedną Jego wspaniałą cechą. Zwykł wtedy używać rzadkiego słowa „wyśmienity”, które dziś zastąpił angielski wyraz „super”.



Wystawa prac Andrzeja Pawłowskiego i Wiktora Zajkowskiego-Gad, fot. Maya Fołtyn.



Wystawa prac Andrzeja Pawłowskiego i Wiktora Zajkowskiego-Gad, fot. Maya Fołtyn.

Andrzej niezwykle dbał o polszczyznę zarówno w mowie jak i w piśmie. To właśnie temu ukochanemu Liceum podarował rzeźbę króla Stefana Batorego, a do biblioteki szkolnej przesłał swoją książkę „Złoto Batorego”. Pojechał też na obchody stulecia powstania Liceum, które przypadły we wrześniu 2018 roku. Spotkał się tam ze starymi „batorakami” i nie przypuszczał, że widzi ich po raz ostatni. Choroba nowotworowa zaskoczyła Go w pełni sił twórczych. Właśnie ukończył książkę „Dolina wyschniętej rzeki”. Zbiór krótkich opowiadań o ludziach ważnych, których spotkał w życiu. – W gruncie rzeczy jest to rzecz o przyjaźni! – mówił – gdyśmy spacerowali z naszymi psami pobliską rawiną. Właśnie ta rawina nasunęła Mu pomysł tytułu

książki. U Andrzeja wszystko przetwarzało się twórczo. Nawet ten nasz spacer z psami. Książka ukazała się w Wydawnictwie Adam Marszałek. Andrzej przywiązywał do niej wielką wagę. Sam zaprojektował okładkę. Z niecierpliwością czekał na jej nadejście. Wydawnictwo zapewniało, że ją wysłało. – To skandal!

Dlaczego nie przychodzi!? Chcę przed śmiercią ją dotknąć! Nacieszyć wzrok! Czy oni tego nie rozumieją!? – denerwował się – Wiesz – podjął po chwili – Mnie się wydaje, że to nie ja odchodzę, tylko świat ode mnie się oddala.



Odchodził z zadziwiającym męstwem w pełnej świadomości śmiertelnej choroby. W końcu był lekarzem. Przed śmiercią domagał się przyjscia przyjaciół i rodziny. Chciał się z nimi pożegnać. Otoczony był niezwykłą opieką żony Danuty, z którą przeżył blisko pięćdziesiąt lat i córek Moniki i Soni. Były też wnuki Andrzeja - Ola i Karolina oraz Tristan i Julian. To imię Julian odziedziczył oczywiście po swoim pradziadku. Andrzej bardzo dbał o tradycję rodzinną. Jestem pewien, że Jego wnuki do końca życia zapamiętają swojego niezwykłego Dziadka.

Przed śmiercią Andrzej słuchał muzyki Chopina i Rachmaninowa, głaskał swoją czarną jamniczkę Manię, która wiernie czuwała na Jego łóżku i oglądał satyryczne grafiki, które specjalnie dla Niego rysował Jego przyjaciel Wiktor Gad Zajkowski. - Wyśmienite rysunki - szeptał - Wyśmienite...

Odszedł spokojnie w piątek 11 stycznia 2019 roku w swoim mieszkaniu pełnym obrazów i własnych rzeźb. Podczas ceremonii pożegnalnej świetny malarz Tadeusz Biernot, który specjalnie przyjechał z Hamiltonu, żeby pożegnać Andrzeja, powiedział mi ze wzruszeniem: - Powiem Ci Jarku, że w życiu nie spotkałem człowieka, który by tak dokładnie umiał zaplanować swój czas. Wykorzystywał dosłownie każdą minutę. Dlatego mógł tyle stworzyć.

A stworzył naprawdę wiele. Czas to właściwie oceni. Pozostaną po Nim rzeźby przestrzenne w ośrodku rzeźbiarskim w Orońsku i Szydłowcu oraz mądre i ciekawe książki. W tym ta ostatnia, której wydania już nie doczekał. Ja zaś z chwilą śmierci Andrzeja straciłem najbliższego przyjaciela, wyśmienitego rzeźbiarza, który głęboko wrył się w moje serce. Bardzo mi Ciebie będzie brak, Andrzeju. Bardzo, bardzo.

O Andrzeju Pawłowskim:

Zatrzymać cień. Andrzej Pawłowski.

Ermitaż nad Tagiem.

Maria Danilewicz-Zielińska.



Maria Danilewicz-Zielińska, po osiedleniu się w Portugalii, w pobliżu Lizbony, nazywana „Latarnikiem w Feijó”, fot. Ludomir Danilewicz, ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

Florian Śmieja

W emigracyjnym polskim Londynie lat wojennych i powojennych

roilo się od instytucji i ludzi. Byli też ludzie-instytucje. Jedną z niekwestionowanych osób tego rodzaju była Maria Danilewiczowa, energiczna kierowniczka Biblioteki Polskiej w dzielnicy Kensington, wysoka, przystojna blondyna, cieszyła się respektem i sympatią wielu czytelników. Pewnie do wszystkich klientów i petentów biblioteki podchodziła życzliwie, ale młodych, a szczególnie adeptów pióra, hołubiła najcieplej. Podsuwała im lekturę, chętnie radziła, czytała ich pierwsze utwory, służyła opinią, promowała ich na łamach prasy, wymieniała w swoich wystąpieniach publicznych.

Kiedy w latach pięćdziesiątych pojawiły się w Londynie polskie pisma młodzieży akademickiej, znalazły w pani Marii gorliwą orędowniczkę i sympatyczkę, a nawet chętną współpracowniczkę, autorkę wczesnego szkicu o literaturze emigracyjnej.

Poznaliśmy ją ponadto i ceniliśmy jako prelegentkę i autorkę licznych artykułów w czasopismach literackich, wreszcie jako prozaika, twórcę opowiadań i powieści, także jako krytyka piszącego wnikliwe szkice.

Urodzona 29 maja 1907 roku w Aleksandrowie Kujawskim Maria Ludwika Markowska studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim uzyskując magisterium w 1929 roku. O krajobrazie dzieciństwa wspomniała później w jednym z listów. Pocieszała

mnie w nim po jakiejś literackiej utarczce.

Łobodowskim przejął się Pan więcej ode mnie. Ja nie traktuję go poważnie i nawet nie trudzę się, by mu odpowiadać, choć popełnił kilka zasadniczych pomyłek. Przypisał mnie np. do Włocławka, a ja – choć urodzona na Kujawach – byłam w tym znacym grodzie nadwiślańskim niespełna trzy lata w końcowych klasach gimanzjum, a wakacje spędzałam na obozach harcerskich pod nosem Łobodowskiego, bo w Zwierzyńcu Ordynackim w pobliżu Zamościa. Na dodatek Ojciec mój wychowywał się w Lublinie i tam kończył gimanzjum. Wyrosłam więc nie tylko w zasięgu miazmatów kujawskich. To raczej... Prymas Wyszyński, Pietrkiewicz, Kuncewiczowa, Nowakowski (Zygmunt, przyp. FS), a także Tadeusz Nowakowski związani byli z Włocławkiem. Katedra, której się oberwało, że jest neogotycka, jest autentycznym zabytkiem z XIV w. itd. (To odżegnywanie się od zażyłości z Włocławkiem nie przeszkodziło w tym, że została honorowym obywatelem miasta Włocławka).

Do wybuchu wojny w 1939 roku pracowała w Bibliotece Narodowej. Opuściwszy Polskę przez trzy lata przebywała we Francji, a następnie przez Lizbonę dotarła do Anglii. Wróciła tam do bibliotekarstwa i do roku 1972 prowadziła Bibliotekę Polską. Współpracowała z pismami polskimi i brytyjskimi drukując

głównie prace bibliotekoznawcze i bibliograficzne, także katalogi wystaw, przyczynki naukowe i teksty literackie.

W roku 1953 tomem opowiadań „Blisko i daleko” zadebiutowała jako prozaik. Trzy lata później również w wydawnictwie Veritas ukazała się jej powieść „Dom”. W roku 1960 wyszedł tom szkiców literackich „Pierścień z Herkulanum i płaszcz pokutnicy”.

Jej długoletnie zainteresowanie piśmiennictwem emigracyjnym zaowocowało, po szeregu próbnych prac, książką „Szkice o literaturze emigracyjnej” w roku 1978, wydane powtórnie w Paryżu, a następnie . poszerzone w Polsce w Ossolineum. W 1992 wyszedł w Warszawie zbiór szkiców literackich i historycznych „Próby przywołań”. Posypały się różne inne publikacje i wznowienia.

Po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się po śmierci męża do Portugalii jej aktywność, teraz już Zielińskiej (wyszła powtórnie za mąż), nie osłabła. Nie zamknęła się w ślicznym domku pod Lizboną którego białe ściany obwieszone były starymi mapami Polski oraz kopiami listów królów polskich, wśród wiecznozielonych aromatycznych krzewów i kwiatów, choć sprawiały jej wiele radości. Komentując kiedyś moje fotografie przysłane z Kanady, śnieg i nikłą roślinność dodała:

[...] u mnie pod samym oknem kwitnie hibiscus, a w ogrodzie szaleją nasturcje i nagietki i jakieś kwiatowe odmiany bardzo urodziwych słoneczników hodowanych dla piękności kwiatów.

Jej ulubionymi kwiatami były fuksje. W innym liście pisała, że patrząc ze swojego okna

[...] podziwiam czerwono-fioletowe fuksje, które w tym roku oszalały i uginają się pod ciężarem kwiatów. Nazywają się ładnie po portugalsku: „*brincos de princesa*” (klejnociki księżniczki – FS). W pobliżu kwitną nagietki – nasze polskie nagietki – portugalska nazwa „*maravilhas*” trafiła do „Księcia Niezłomnego” – Słowacki ich nie utożsamiał, a brzmienie nazwy mu się najwidoczniej podobało.

Choć mieszkała w Portugalii, nadal uczestniczyła w jury nagród pisarskich. Tak motywowała wybór jednego z nagrodzonych Nagrodą Kościelskich poety:

Nagrodę emigracyjną otrzymał Bolesław Kobrzyński, autentysta, autor wierszy wojennych, od lat przebywający w szpitalu. Nagroda umożliwi przypomnienie jego twórczości,

wczorajszej – to prawda, ale korzystnie odcinającej się od tradycyjnych wierszy wojennych pisanych przy biurku przez przysięgłych cywilów.

Ten szpital odwiedziłem kiedyś na zaproszenie poety Bronisława Przyłuskiego. Wśród słuchaczy był również Kobrzyński. Zabierał głos bardzo interesująco, potem mnie odprowadził do autobusu. Wtedy dopiero objawiły się jego lęki i ukazała przyczyna jego hospitalizacji. Korespondowaliśmy trochę. On mi przysyłał długie, pięknie kaligrafowane wiersze, których pisał dużo. Ja mu dostarczałem papieru i znaczków.

Wieści nadchodzące z samotni pani Marii niekiedy potrafiły zadziwić. Zakomunikowała raz takie spostrzeżenie:

Czy zauważył Pan, że w r.1989-91 wydarzyło się coś ze wszech miar godnego uwagi, co i Pana bezpośrednio dotyczy. Prawie równocześnie, w odstępach paru miesięcy, mimo trudnych warunków wydawniczych pojawiły się „Wiatr z innej strony” Bogdana Czaykowskiego, „Niespodziewane żywoty” Jana Darowskiego, co najmniej dwa tomiki Bolesława Taborskiego („Szekspir” i „Polityka”), „Jesień” Adama Czerniawskiego – a niewiele wcześniej zebrane wiersze Zmarłych Ławrynowicza i Gniatczyńskiego. Do tego trzeba dodać działalność na pokrewnych polach: Jerzego Sity

jako wydawcy i Taborskiego w BBC („Sztuka nad Tamizą”). Obserwując to zjawisko dochodzę do wniosku, że stoimy wobec „powtórnego debiutu” czy renesansu grupy poetów londyńskich. Jest to zjawisko na miarę „wybuchu” twórczości Skamandrytów w 1939/40. Może mi Pan odpowiedzieć, że niektórzy wymienieni pisali i publikowali „ciurkiem” (jak się mawia w sekcji Polskiej BBC) – ale zgodzi się Pan, że najnowszy zbieg okoliczności ma swoją wymowę, zwłaszcza, że z wyjątkiem przedwcześnie zmarłych, nic nie zapowiada, by nie było dalszego ciągu (np. Busza). Dla mnie, kronikarki literatury emigracyjnej, z musu porywającej się na hierarchizowanie, jest to wydarzenie wielkiej wagi, bo w pewnym stopniu oznacza przedłużenie literatury emigracyjnej, bo przecież chcąc nie chcąc jesteście par excellence poetami i pisarzami reprezentującymi tę emigrację i to w stopniu wyższym od wielu lansowanych przez niektóre koła (zwłaszcza w Kraju) wielkości *emigracyjnych* (Wat!).

Posyłałem jej niekiedy ciepłe jeszcze tomiki moich wierszy.. Po odebraniu „Ziem utraconych” tak do mnie napisała: „To najlepsze Pana wiersze. Jak Staff i jak Wierzyński pisze Pan im później, tym lepiej. Zna Pan zapewne opinie o profesorach niemieckich: najlepsze prace piszą na emeryturze. Myślę, że odnosi się to – ogólnie biorąc – także do poetów a do Pana w

szczegółności. Gratuluję i zachęcam do 'Medytacji', podsumowania grzechów (nie) wielkiej Emigracji i nie bania się Smutku ludzkiego a Smętku narodowego. Balansuje Pan zręcznie między Tradycją a POSTmodernizmem i uchował się Pan przed 'obowiązkiem' deklarowania wierności Jungowi, Derridzie i Bachtinowi".

Zdarzało się, że jakiś pojedynczy wiersz spodobał się na tyle, że powodował niespodziewane, obszerne komentarze.

Bardzo mnie wzruszyło „Życie pozagrobowe”. Przystaje do mojej sytuacji („Więcej wśród nas umarłych”), gdy tkwię samotnie i „przecież żyję”, a mam przed sobą raptownie się zwężający margines czasu i blisko terminowe spotkanie ze śmiercią, bez gwarancji, że spotkam się z bliskimi, których widma (fantazmy?) krążą po nocach tak realistycznie, że po przebudzeniu z trudem oddzielam marę od otaczającej mnie rzeczywistości i, mimo wszystko, obcego otoczenia. A przecież nie umiem i nie chcę oddalać się stąd, a że i wiek i stan zdrowia dyktują spokojną egzystencję, więc siedzę (teraz przy otwartych na ogród drzwiach [...]).

Pani Maria zawsze reagowała na wspomnienie ludzi, których znała. Kiedy zmarł stryj mojej żony, Juliusz Poniatowski, napisała:

Pana Juliusza znałam długo i dobrze. Jeszcze z czasów, gdy pisałam o Krzemieńcu i często jeździłam na Wołyń. A i w Warszawie, gdzie widywałam go najczęściej u tzw. „starego Stempowskiego”. To był wspaniały człowiek.

Kiedy indziej widocznie poskarżyłem się listownie na Iwaniuka, na co nadszedł taki jej komentarz:

Niepotrzebnie przejmuję się Pan Iwaniukiem. To bardzo nieprzyjemny facet. Miałam z nim takie przejście. Przysłał do Biblioteki tom swoich wierszy. W podziękowaniu był błąd maszynowy w nazwisku (na kopercie brzmienie było prawidłowe). Przegapiłam, podpisałam. Zareagował ordynarnym listem, a tak się złożyło, że na krótko przed tym w decydujący sposób pomogłam do przyznania mu nagrody Kościelskich, bo moi Koledzy z Jury wierszy jego (poza Jeleńskim) nie czytali. Złośliwiec zakompleksiony.

Pani Maria raz po raz zachęcała mnie do pisania do rocznika „Antemurale” pragnąc ożywić badania na odcinku ibericów. Okazało się, że nawoływała bez skutku. Sama zaś, znalazłszy się na nowej ziemi zajęła się gorliwie luso-polonikami. Jej mąż Adam Zieliński zebrał dwadzieścia kilka utworów poetów portugalskich

dziewiętnastego wieku dotyczących Polski, a wywołanych
echami powstania styczniowego. Na próżno usiłowano mnie
wciągnąć do współpracy. Usprawiedliwiałem się słabą
znajomością portugalskiego i innymi pilnymi obowiązkami. W
końcu powstały z tego 34 felietony radiowe p. Marii o luso-
polonicach. W „Wiadomościach” natomiast pojawiły się bogato
ilustrowane, ciekawe artykuły o Luzjadach. O ile sygnały
emigracyjne były niesprzyjające (nie interesował ponoć
czytelnika polskiego Camoes), z Polski nadszedł list profesora
Stefana Kieniewicza, specjalisty od roku 1868 przyznający, że
autor nie wiedział nic o tej fali sympatii dla Polski w Portugalii.



Maria Danilewicz-Zielińska - twórczyni i dyrektorka Biblioteki Polskiej w Londynie, fot. ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

Także wydaniu „Mickiewiczian” towarzyszyły opaczne sygnały. Pani Maria w 1991 roku napomknęła, że „Mickiewicziana przeszły bez echa”, ale sądzę, że pozostaną one trwałym świadectwem jej edytorskiego zapachu. Nie była to robota wcale łatwa.:

[...] opracowanie ich kosztowało mnie ponad rok życia, ale była to praca emocjonująca i chyba celowa. Dwa dalsze lata

pochłonęła walka z drukarniami – absurdalna, bo książka ukazała się tylko pozornie nakładem „Arkad”, a w rzeczywistości sfinansował jej wydanie dr Tomasz Niewodniczański, właściciel opublikowanych obecnie autografów i jeszcze cenniejszego „Albumu Moszyńskiego”, który wejdzie do tomu drugiego, a zawiera robocze wersje wierszy z okresu rosyjskiego, w tym sonetów krymskich. Demonstruje tam Mickiewicz swój warsztat poetycki, wielokrotne nanoszenie poprawek (nie zawsze ulepszeń) itp.

Lata płynęły. Starszy mąż wymagał troskliwej opieki. Lekarz rozkładał bezradnie ręce słuchając opowieści o symptomach choroby i mawiał *idade*, wiek! Pani Maria poczuła, że i ją wysiłek zaczął męczyć, a tyle jeszcze chciała zrobić.

Szczęśliwym pomysłem okazał się mój wypad z Sewilli do Portugalii w roku 1988, kiedy prowadziłem w tym mieście kurs języka hiszpańskiego dla grupy kanadyjskich studentów. Poprzednio odwiedziłem podlizbońską samotnię z żoną i czworgiem dzieci w roku 1975 w sam gorący czas przewrotu w Portugalii, kiedy zbuntowane wojsko i czerwone watahy przewalały się złowieszczo ulicami smarując cudowną biel domów i kościołów czerwonymi gwiazdami, sierpem i młotem. Wydawało się, że padnie demokracja. Tym razem jechałem sam autobusem przez rzadko odwiedzane zakątki Ekstremadury. Przy

tej okazji nagrałem z panią Marią rozmowę, a raczej wywiad na temat literatury emigracyjnej. Wydrukował go Giedroyć w „Kulturze” i zapoczątkował całą falę publikacji na ten nagle modny temat. Pani Maria zanotowała całą sprawę wielkodusznie:

[...] wskrzesił mnie Pan swoim wywiadem, bo otrzymałam pod jego wpływem kilka listów, w tym pretensje, że za mało kocham londyński Związek Pisarzy.

Lecz nieubłagany czas zabrał męża. O swoim domu o nazwie *Romazeiras* pisała : „[...] to obecnie jednoosobowy damski klasztor trapistów”. Nie dawała jednak za wygraną. Podjęła inny temat:

Usiłuję pisać wspomnienia. Kujawskie dzieciństwo i młodość jakoś dały się opisać, utknęłam na obrazie Dwudziestolecia, bo im dalej w lata, tym bardziej rozgałęziają się moje sprawy i „geograficznie” powiększa świat. Wcześniej napisane fragmenty o Londynie czekają na włączenie we właściwe miejsca, a całość się nie klei i chyba nie skleci. Giedroyć uważa, że moje życie było (i jest) ciekawe, co wydaje mi się błędną oceną, bo – co zarzucili mi Bednarczykowie – nie mam za sobą doświadczeń zsyłkowych i więziennych. Myślę jednak, że niektóre moje przeżycia i

doświadczenia wymykają się szablonom, a samotność sprzyja rewizji ocen o dawnych doświadczeniach życiowych.

Odpowiadając późno, jak sądziła, na mój list napisała:

Tłumaczy mnie, poza karygodnym lenistwem, mój podeszły (?) wiek – przed tygodniem skończyłam 88 lat i sama się dziwię, że jeszcze żyję, czytam, piszę, a nawet występuję w telewizji.

Powróciła też do poprzedniego tematu, do sprawy wspomnień.

Piszę wspomnienia, ale w tej wczesnej brulionowej formie jest to raczej sprawozdanie czy „curriculum vitae” niż obraz subiektywny przeżyć w różnych epokach życia: krajowej (do 1939), francusko-angielskiej i portugalskiej (już 22 lata).

Doczekawszy pięćdziesięciu lat przyjmowała los filozoficznie:

Czuję się, „*as well as it can be expected*” to znaczy łamię mnie kości na zmianę ,źle sypiam, to znow gnębi mnie

senność – co usprawiedliwia lenistwo, a margines życia przede mną stale się zęża.

Nie narzeka na własną sytuację, pociesza innych, którzy szukają u niej pociechy. Po wizycie znajomej, która nie mogła przeboleć utraty matki, do której była bardzo przywiązana, Danilewicz-Zielińska notuje:

Musiałam, chcąc nie chcąc, udawać psychoanalityka i zabijając własne wspomnienie tłumaczyć śmierć jako wolę Bożą, nie omijając nikogo. W moim wieku wymaga to samodyscypliny i unikania analogii.

Szczęśliwym zrządzeniem potrafi jeszcze czytać, co robi z przyjemnością oraz „narkotyzuje się” TV Polonią. Zachwyciła się np. oglądając wystawienie „Zemsty”. W sierpniu 1999 odebrała mój list z kolejnym sprawozdaniem z mojego pobytu w Polsce.

Zazdroszczę Panu możliwości częstych wyjazdów, a w szczególności Wilna. Ja nie mogę odwiedzić nawet Włocławka, do którego ciągnie serce, ledwo łązę po domu i serce nawala (zemdlenia), nie nadaję się do podróży samolotami – a tak stąd daleko.

Kartkę napisała regularnym, pięknym pismem ręcznym, którego niewielu ludzi w życiu się potrafi dopracować.

Święta Bożego Narodzenia 2000 roku spędziła u przyjaciół w eleganckim podlizbońskim kurorcie Estoril. Mogła stamtąd podziwiać zmienne, malownicze krajobrazy oceaniczne. Pojechała ze swoją najnowsza książką „Fado o moim życiu”, której egzemplarz miałem w styczniu odebrać. Było to Boże Narodzenie po wodzie. W liście z 12.01.2001 r. już po powrocie do Feijo wspominała ciężki okres pracy bibliotekarskiej w Londynie, który nie pozostawiał czasu na pisanie i że dopiero po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się do Portugalii mogła napisać „Szkice o literaturze emigracyjnej” i eseje, które złożyły się na książkę „Fado o moim życiu”.

Nie przeczuwała, że nowy rok zacznie się fatalnym załamaniem się zdrowia i że tragiczny pożar zniszczy część dokumentów jej owocnego życia. Pani Maria, Bogu dzięki, wraca szybko do zdrowia, ale nie może nie być wstrząśnięta niepowetowaną utratą książek i listów. Chciałem wierzyć, że „pustelniczka”, dotknięta tak wieloma próbami i z tej wyjdzie obronną ręką.

Maria Danilewicz-Zielińska zmarła 22 maja 2003 roku w Quinta das Romazeiras w Portugalii (przy. red.).

O Marii Danilewicz-Zielińskiej:

Portugalskie rekonesanse

<https://www.youtube.com/watch?v=-VUs1dYfU2g>